

Noc, która nie ma świtu

Kamil Kranc — Kroniki Ciemności

II

Szli procesją po dnie wyschniętej rzeki lawy.

Było ich może trzystu. Mężczyźni, kobiety, dzieci – choć dzieci, gdy podchodziłem bliżej, nie wyglądały jak żadne dzieci, które widziałem na Ziemi. Miały zbyt duże głowy, zbyt bladą skórę, a ich oczy – te, które jeszcze miały – świeciły w mroku fosforyzującym blaskiem, jak głębinowe ryby. Niektóre z nich miały oczy na dłoniach. Inne – na ramionach, po trzy, po cztery, ułożone w nieregularne wzory, które zdawały się zmieniać za każdym razem, gdy mrugałem. To nie były deformacje wrodzone. To były adaptacje.

Prowadził ich starzec. Szedł pierwszy, z pochodnią, która nie dawała ciepła. Płomień był biały, zimny, i nie rzucał cienia – a może to cienie były wszędzie i po prostu nie miały już gdzie padać. Jego szata (plótno? kora? skóra?) zwisała z niego w strzępach, które nie pamiętały już pierwotnego koloru. Na piersi nosił medalion – okrągły dysk z metalu, który świecił własnym, słabym blaskiem. Przedstawiał słońce. Ale nie takie słońce, jakie znamy – to było słońce z twarzą, a twarz ta płakała.

Starzec nie miał powiek. Jego oczy – wypukłe, szkliste, jak u ryby wyciągniętej z najgłębszej toni – patrzyły przed siebie w bezruchu, który był bardziej przerażający niż jakikolwiek krzyk. Nie mrugał. Nie mógł. Przez te oczy, które nigdy nie zamykały się na spoczynek, przez lata patrzenia w ciemność, wyżarły się w nich ślady czegoś, co kiedyś było źrenicami. Teraz były tylko dwie białe, świecące kule, w których odbijała się – może – resztką światła, które niegdyś było ich słońcem.

Gdy podszedłem, procesja zatrzymała się. Nie wszyscy naraz – jedni wcześniej, inni później, jak fala uderzeniowa, która traci impet. Ci z tyłu patrzyli przed siebie z niepokojem, którego nie potrafili ukryć, choć ich twarze od dawna zapomniały, jak wyrażać cokolwiek innego niż tępy, zwierzęcy lęk.

„Jesteś nowy” – powiedział starzec. Jego głos nie wydobywał się z ust. Dźwięczał gdzieś w mojej głowie, jak kamień wrzucony do podziemnego jeziora. Echo rozchodziło się po całej czaszce, wibrując w zębach, w oczodołach, w kanale słuchowym. „Jesteś snem. Albo my jesteśmy twoim snem. To bez różnicy. Oni nie rozróżniają.”

„Kim jesteście?” – zapytałem. A może tylko pomyślałem. Na tym świecie nie było różnicy między słowem a myślą. Zauważyłem, że nikt z procesji nie otwiera ust, gdy mówi. Komunikowali się przez dotyk – kładąc dłonie na ramionach, na głowach, na twarzach. Przekazywali w ten sposób obrazy, uczucia, wspomnienia. Wiedziałem to nie dlatego, że mi powiedzieli. Wiedziałem to, bo czułem na własnej

skórze lekkie, suche dotknięcia, gdy przechodzili obok.

„Nazywaliśmy siebie Ludźmi Światła” – odparł starzec. „Dawno temu, gdy jeszcze świeciło słońce. To była dobra gwiazda. Ciepła. Wierna. Mieliśmy jej imię – Arath. W waszym języku znaczy mniej więcej 'ta, która tańczy'. Aż pewnego dnia... przestała. Nie eksplodowała. Nie zgasła jak świeca. Po prostu... odeszła. Zabrali ją.”

„Kto?”

Starzec uniósł rękę. Wskazał na horyzont. Na początku nic nie widziałem. Potem dostrzegłem, że czarna kopuła nieba pęka. Nie jak skorupa jajka – jak warga, która rozchyła się do szeptu. I przez tę szczelinę przelewało się coś, co nie było światłem. Było przeciwieństwem światła. Było obecnością ciemności. Ciemności, która nie była brakiem czegoś, ale czymś samym w sobie – substancją, materią, istotą.

„Tymi, Którzy Przychodzą z Gwiazdnych Pustek” – wyszeptał starzec. „Nie mają imion. Nie mają kształtów. Mają tylko głód. Nie pożerają ciał. Pożerają czas. Pożerają możliwość słońca. A kiedy już wyssą gwiazdę, schodzą na planety i zbierają to, co zostało.”

„Zbierają?”

Starzec spojrzał na mnie. I w jego oczach – tych pozbawionych powiek, wypukłych, szklistych – zobaczyłem coś, czego nie zapomnę do końca swoich dni (a tych dni – jak teraz podejrzewam – zostało już niewiele). Zobaczyłem nadzieję. Ale nadzieję tak starą, tak spleśniałą, tak wypaczoną przez cierpienie, że była gorsza niż rozpacz. Była jak kwiat, który wyrósł na grobie. Piękny w swojej ohydzie.

„Zbierają nas” – powiedział. „Wcielają nas w siebie. Nie umieramy. Stajemy się częścią ich trwania. Częścią ich snu. A one śnią przez nas. Śnią światy, które zniszczyły. Śnią słońca, które zgasiły. I to je odżywia. To je bawi.”

Wokół nas procesja ruszyła dalej. Wolno. Bardzo wolno. Z tyłu dołączyły nowe postaci – wynędzniałe, z zapadniętymi policzkami, z ranami, które nie goiły się od lat, bo na tej planecie nie było już siły, która mogłaby zamknąć ciało przed własnym rozkładem. Niektóre z tych ran miały krawędzie – jak usta. I te usta szeptały.

Zapytałem starca, jak długo już wędrują. Uśmiechnął się – po raz pierwszy i ostatni. To nie był uśmiech. To był skurcz mięśni twarzy, który przypominał uśmiech tak, jak trup przypomina żywego.

„Nie liczymy” – odparł. „Był czas, gdy liczyliśmy. Dni. Lata. Potem przestaliśmy. Potem zaczęliśmy liczyć od nowa, gdy przyszło nowe pokolenie. Potem znowu przestaliśmy. Teraz... teraz tylko idziemy. Idziemy, bo gdybyśmy stanęli, zobaczylibyśmy, że nie mamy dokąd iść.”

Poszedłem z nimi.